



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Marta Towiańska-Michalska

Dzieciństwo w wojennym Łunińcu

Stacja węzłowa

Całe swoje dorosłe życie mieszkam w Szczecinie. Lubię swoje miasto i czuję się szczecinianką. Mieszkam tu prawie od pół wieku. Tu skończyłam studia, założyłam rodzinę, urodziłam córkę, tu działo się wszystko, co nadało kształt mojemu życiu. Jednak kiedy myślę o stronach rodzinnych, to myślę o Polesiu, chociaż wyjechałam z Łunińca, kiedy miałam 14 lat. Może to cecha starości, że wszystko, co było kiedyś, wydaje się ciekawsze i piękniejsze.

Nawet pory roku były inne tam, na wschodzie. Po obu stronach ulicy wykopane były rowy, do których spływała woda podczas wiosennych roztopów. Nad rowami położone były na polach drewniane chodniki. Wiosną woda wypływała przez szpary między deskami. Latem rosła w tych rowach bujna roślinność. Przez szpary w deskach wylały trawy, kaczeńce, niezapominajki. Wiosna przychodziła burzliwie i w pośpiechu. Jednego dnia jeszcze mróz, a nazajutrz już po lodowych soplach wiszących nad okapem domu spływała woda. Na polach widać było czarne plamy ziemi pomiędzy leżącym jeszcze śniegiem. Jeszcze leżał śnieg, a już rozkwitały kwiaty. Wiosenne burze gwałtownie zmywały resztki zimy. Przychodziła Wielkanoc. Najpierw polska, potem ruska, czyli prawosławna.

To był zupełnie inny świat i inne pory roku. Jakby inna planeta.

Nie istnieje już moje Polesie. W maju 1995 roku byłam na Białorusi. Odwiedziłam moje miasto Łuniniec. Czy odnalazłam dawne wspomnienia? Nie umiem odpowiedzieć. Wszystko wydało mi się inne, nie takie, jakby mniejsze i chyba było inne. A jednak co krok spotykałam ślady przeszłości.

Przed wojną Łuniniec był miastem powiatowym. Ostatnią polską węzłową stacją kolejową przed granicą wschodnią. Miasto położone wśród bagien i lasów miało kształt trójkąta, w którego trzech kątach znajdowały się kościół, cerkiew i bożnica.

Tory kolejowe i stacja przedzielały miasto na dwie części, a most nad torami łączył te części na powrót w jedną całość.

Kiedy umarła moja mama, miałam 4 lata. Odtąd wychowywałam się w domu babci Marianny Bilewiczowej. Dom mojej babci stał po tej stronie miasta, która nazywała się Zalesie, przy ulicy Mickiewicza, pod numerem 5. Rozległy, drewniany, sześciopokojowy, parterowy dom miał kształt rosyjskiej litery P, czyli kształt podkowy.

Po wielu latach stanęłam przed rodzinnym domem, w którym spędziłam trudne, wojenne dzieciństwo. Nie mogłam go od razu poznać. Zmienił sylwetkę, został oszalowany pomalowanymi na

zielono deskami. Dorobiono dodatkowe wejścia, zburzony został frontowy ganek i duża oszklona weranda. Mieszka w nim teraz sześć rodzin. Obecni mieszkańcy nie chcieli mnie wpuścić do środka, a ja nie należałam.

Idąc ulicą, która nadal nazywa się ulicą Mickiewicza, widziałam czteropiętrowe kamienice i rząd garaży na terenie dawnej posesji mojej babci. Między kamienicami rośnie jeszcze znajomy stary dąb, ze śladami od uderzenia pioruna. Z dawnego sadu zostały dwie stare grusze, które akurat bujnie kwitły.

Pierwsze wiadomości o Łunińcu pochodzą z 1410 roku. Dowiedziałam się tym od Tatiany Konopackiej, redaktorki tutejszej gazety i autorki liczącej 711 stron książki o Łunińcu pod tytułem „Pamięć”. To Tatiana zaprosiła mnie do Łunińca. Miała zamiar opracować drugą część dotyczącą okresu międzywojennego w historii Łunińca. Miała się tam znaleźć również historia mojej rodziny. Wątpię, czy Tatiana mogła zrealizować swój projekt.

Jestem Tatianie wdzięczna za zaproszenie. Pobyt w kraju dzieciństwa skłonił mnie do opisanie rodzinnych dziejów. Zrobiłam to z myślą o mojej jedynej córce i wnuku, którzy na stałe mieszkają w Stanach Zjednoczonych nad Zatoką Meksykańską. Chciałabym, żeby Lila i Jaś wiedzieli, z jakiego drzewa są liśćmi i że Jaś jest polskim Jasiem, chociaż mówią na niego John. Wiem, że jestem dla nich reliktem historycznym. Osobą, która żyła w warunkach niewyobrażalnie odmiennych od tych, w których oni żyją. Takie słowa, jak wojna, okupacja, kresy, to dla nich słowa historyczne i egzotyczne. Może podjęłam się zbyt trudnego zadania, chcąc opisać dawny świat, który przestał istnieć realnie.

Moje podróże na wschód i na zachód są podróżami nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Jaka jest różnica czasu między Polesiem a Ocean Spring w stanie Missisipi? Chyba trzeba to wyliczyć w latach świetlnych. Jestem polskim UFO, które od czasu do czasu ląduje na amerykańskiej ziemi, przywożąc ze sobą bagaż wspomnień z innej planety.

Sąsiedzi

Różne nacje żyły w Łunińcu w zgodzie i symbiozie. Polacy modlili się w katolickim kościele, prawosławni w cerkwi, a Żydzi w bożnicy. Żyli obok siebie i szanowali się nawzajem – w praktyce, bo nie w teorii. Kacap, to zawsze kacap. Przeważnie nieuk. Dobrze, jeśli w ogóle piśmienny. Bolszewik i komunista. Ale przecież nie dotyczyło to pana Sokołowskiego, naszego domowego lekarza. Pan Sokołowski to nasz własny kacap, przyjaciel rodziny, gotów na każde zawołanie przyjść z pomocą. Od lat leczył całą rodzinę bezinteresownie i za darmo. A było kogo leczyć. Rodzina była liczna i chorowita.

Albo Żyd. O, to jeszcze gorzej. Żyd to krwio pijca. Żydzi, nie dość, że zamordowali Pana Jezusa, to do dzisiaj stosują makabryczne praktyki rytualne. Nabijają beczkę gwoździami do wewnątrz. Do środka tak spreparowanej beczki wsadzają katolickie dziecko i toczą beczkę, aż utoczą całą krew z niewinnego, chrześcijańskiego dziecka. Tę krew dolewają do macy.

Pani doktor Singałowaska, która leczyła zęby całej rodzinie, przynosiła w żydowskie święto bardzo smaczną macę, którą wszyscy jedli ze smakiem. Ale to była nasza „własna” Żydówka.

Małżeństwa z innowiercami były bardzo źle widziane. Kiedy brat mojej babci – Florian Kozłowski – zawiadomił swoją matkę, że chce się ożenić z Rosjanką, matka powiedziała słynne potem w rodzinie zdanie:

– Syneczku, wolałabym cię widzieć na katafalku.

A i tak potem wszyscy pokochali Nastię, która nigdy nie nauczyła się poprawnie mówić po polsku. Moja babcia mówiła w zadumie:

– Ona jest taka miła. Wszystko byłoby bardzo dobrze, gdyby nie była kacapką.

Były to tzw. rubieże Rzeczypospolitej i trzeba było pilnie strzec polskości, czystości języka, znajomości polskiej literatury i historii.

Przy ulicy Mickiewicza szeregiem stały domy: Jarmontowiczów, Bartoszewiczów, Bilewiczów, Ołtarzewskich, Sawickich i Piotrowskich. Były to rodziny z tradycjami i ambicjami. Nie wiadomo, jakim sposobem pomiędzy tymi posesjami znalazł się dom Bernatów. Chatynka maleńka, kupa dzieci w środku. Narodowość: „tutejsi”. Tak przeważnie określali swoją narodowość Białorusini. Syn Bernatów, Kola, ożenił się z Żydówką. Była bardzo ładna ta Żydówka Bronia i zupełnie do Żydówki niepodobna.

W tym samym czasie ożenił się też mój wuj, Edward Bilewicz. W tym samym też czasie w jednej i drugiej rodzinie urodziły się dzieci. Chłopak i dziewczynka. Z początku Bernatowa była bardzo przeciwna małżeństwu swego syna z Żydówką. Z czasem jednak pokochała swoją bardzo urodziwą synową i udane wnuki. W czasie okupacji ktoś doniósł Niemcom, że żona Koli Bernata to Żydówka. Starej Bernatowej nie było w domu. Poszła do lasu na jagody. Podczas jej nieobecności Niemcy zabrali całą rodzinę i rozstrzelali za torami na Piaskach. Kolę Bernata, jego żonę Bronię, ich dwoje dzieci, siostrę Koli Olę, jej męża, ich troje dzieci, a także starego Bernata. Bernatowa wróciła z jagodami z lasu i zastała pustą dom.

W sionce domu mojej babci stał duży kufer. Pamiętam, że dniami i nocami siedziała na nim Bernatowa i płakała. Nie chciała wejść do naszego domu i nie chciała już być w swoim domu. Siedziała na tym kufurze w sionce i płakała, aż oślepla od tego płaczu. Wypłakała oczy.

Kiedy po latach przyjechałam do Łunińca, opowiedziałam historię rodziny Bernatów Tatianie.

– Było jeszcze straszniej – powiedziała.

– Straszniej?...

– Tak. Bo wie pani, kiedy Niemcy rozstrzelali na Piaskach Żydów i tych, co byli z Żydami związani, to synek Koli Bernata i Broni – tej Żydówki, uciekł. Miał wtedy nie więcej niż sześć lat. Udało mu się uciec. Dobiegł aż do Mokrego Zaułka. Był już bardzo blisko od domu swojej babci Bernatowej. Gdyby dobiegł, to może ona jakoś by go skryła. Ale ktoś doniósł Niemcom, że taki mały uciekł z Piasków, gdzie Żydów likwidowano. Niemiec go dogonił. Nawet do niego nie strzelał. Pamięta pani studnię magistracką, która stała u zbiegu ulic Mickiewicza i Leśnej? Ten Niemiec chwycił dzieciaka za nogi i roztrzaskał o cembrowaną studnię. Potem wrzucił na podwórko Bernatów. Bernatową znalazła wnuka z roztrzaskaną głową na swoim podwórku. Nie wiedziała pani o tym?

Nie wiedziałam. Nikt mi o tym nie opowiadał. Byłam wtedy wątłą, wrażliwą dziewczynką, która często budziła się po nocach z krzykiem. Może babcia zabroniła opowiadać w mojej obecności, co się stało z synkiem Żydówki Broni.

Wywózki

Wojna przyszła na Polesie od wschodu.

W nocy obudził nas łomot wyważanych drzwi. Przez wyważone drzwi wpadli sowieccy żołnierze z karabinami „na sztyk”. Przecwałowali przez amfiladowe pokoje. Wyszła do nich moja babcia. Po rosyjsku, z poprawnym akcentem spytała:

A wy czego tu szukacie?

Będziemy likwidować burżujów!

Durak! Koszulę w zębach nosiłeś, jak ja robiłam rewolucję w Rosji.

To jest odrębna historia z tym „robieniem rewolucji”. Moja babcia owdowiała w czasie I wojny światowej. Podczas rewolucji znalazła się z dziećmi jako uciekinierka w Jelcu. Pracowała tam jako kierowniczką domu dla sierot i nieletnich przestępców. Wracając z dziećmi do Polski, przywiozła ze sobą listy pochwalne i dyplomy za wzorową pracę. Nie zniszczyła tych papierów mimo sugestii rodziny i przyszedł czas, że się przydały.

Cała okolica zachodziła w głowę, dlaczego nie wywieziono na Sybir Bilewiczowej i jej rodziny.

Rano, po wkroczeniu ruskich, zjawił się pan Sokołowski i powiedział do babci po rosyjsku:

Ot i oczulił się ja w swoim gosudarstwie. (Obudziłem się we własnym kraju). A jeszcze dodał, że wywiesił czerwoną flagę. Babcia powiedziała:

Precz!

Miałam jej to za złe. Pan Sokołowski był prawie członkiem rodziny. Tyle lat wszystkich leczył. Nie rozumiałam, dlaczego tak bezwzględnie wygoniła go ze swego domu. Tymczasem sowieci, mimo że powitał ich jak rodaków, pierwszym transportem wywieźli go na Sybir i słuch o nim zaginął na zawsze.

Wielu tzw. tutejszych z entuzjazmem witało sowieckie wojsko, co wcale nie chroniło przed wywiezieniem w głąb Rosji. W mojej rodzinie mówiono: zdradziecki cios w plecy.

Bardzo żałowałam, że nas nie wywieziono. Ogromnie chciałam zobaczyć Kazachstan i Syberię. Z żalem patrzyłam jak przed sąsiednimi posesjami stawały podwozy i w ciągu paru godzin ich mieszkańcy porzucali swój dom. Zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, co to oznacza. Kojarzyło mi się romantycznie z obrazami Grottgera. Kibitka, która pośród śnieżnej zamieci unosi w nieznaną dal bohaterskich obrońców wolności.

A tymczasem ładowano ludzi do bydłęcych wagonów. Plombowano drzwi i wieziono w nieznaną. Zimy na wschodzie były ostre. Na etapach otwierano drzwi, wyrzucano trupy. „Kto umiera, wolny już...” Mój wuj, Hieronim Bilewicz, wywieziony na Syberię, stracił tam matkę i siostrę. Został zupełnie sam, będąc jeszcze chłopakiem. Do Polski wrócił w latach pięćdziesiątych.

Rodzina mojej wujenki, z domu Jarmarkierówniej, córki leśniczego z Kobrynia, została wywieziona na Sybir i do Kazachstanu, a potem różnymi drogami rozsiała się po całym świecie. Major w stanie spoczynku, pan Romański, mąż przyjaciółki mojej babci, został aresztowany i wyniesiony z domu na noszach. Był sparaliżowany i nie chodził. Wkrótce potem wywieziono do Kazachstanu całą jego rodzinę. Nie mogłam odżalować i zrozumieć, czemu nas nie wywożą.

Babcia miała glejt. Babcia miała zawsze sposób na wszystko. Była niezwykłym człowiekiem. Harda, dumna i mądra – nie wiedziała, co to znaczy: poddać się.

Tajna i jawna szkoła

Z przyjściem Rosjan całe moje dotychczasowe życie uległo zmianie. Przestała istnieć prywatna Szkoła Macierzy Szkolnej, do której chodziłam. Do Macierzy Szkolnej chodziły dzieci miejscowej polskiej inteligencji. Nauka była płatna – 10, czy też 15 złotych miesięcznie. Klasy były bardzo nieliczne. W mojej klasie było chyba ośmioro dzieci. Pamiętam parę nazwisk: Stefan Borkowski, Czesia Zdrajkowska, Czesia Grodowska, no i ja, Maria Alina Towiańska. Wychowawczyni nazywała się panna Korolkiewiczówna, a kierowniczką szkoły była pani Maria Cyranowa.

Teraz miało być zupełnie inaczej. Moje życie jako uczennicy biegło jakby podwójnym nurtem. Zaczęłam chodzić do szkoły powszechnej z rosyjskim językiem wykładowym. A w domu uczyły mnie moje ciotki – nauczycielki z zawodu i z zamiłowania. Zamieszkała też u nas nauczycielka matematyki z miejscowego gimnazjum zamkniętego w czasie okupacji, pani Mikołajewska-Zaleska. To właśnie ona uczyła mnie matematyki. Był to początek tzw. tajnych kompletów, na które z czasem przychodziło coraz więcej dzieci. Lekcje odbywały się o różnych porach. Do moich obowiązków należało zawiadamianie uczniów o terminach lekcji. Uważałam, że jestem bardzo ważną osobą, skoro powierzano mi takie tajne zadanie. Kiedy odbędą się lekcje, mogły wiedzieć tylko wtajemniczone osoby. Program nauki był szeroki. Podejrzewam, że był bardziej obszerny niż wynikało to z wieku uczniów. Matematyki uczyły dwie panie: Maria Mikołajewska-Zalewska i Aleksandra Tulejko. Łaciny uczyła pani Śliwińska, a rysunków, historii i wiedzy o sztuce, pani Maria Grobelna-Studzińska. Były to przeważnie nauczycielki gimnazjalne. Nauka była w zasadzie płatna, tzn. każdy przynosił coś do jedzenia. Ale jeżeli nie miał czym płacić, to po prostu nie płacił. Podobnie jak moje, życie moich nauczycielek też przebiegało podwójnym nurtem. Przed południem uczyły w legalnie istniejącej rosyjskiej niepełnej średniej szkole.

W szkole powszechnej bardzo szybko nauczyłam się biegle władać rosyjskim. Był taki czas, że równie dobrze mówiłam po rosyjsku jak po polsku. Dobrze się stało, że nauczyłam się w dzieciństwie języka, którego później na pewno nie chciałabym poznać. Polubiłam poezje Puszkina i Lermontowa, bajki Krylowa i wiersze Fieta.

Od czasu do czasu zjawiał się w szkole oficer polityczny z pogadanką o wielkim Kraju Rad. Jest taka scena w filmie Agnieszki Holland EUROPA EUROPA... Komuś, kto tego nie widział na własne oczy, może się ta scena wydać przesadzona i nieprawdopodobna. A jest prawdziwa. Tak naprawdę było. W mojej szkole w Łunińcu, dowodząc, że Bóg nie istnieje, polecono dzieciom wołać:

– Boh, daj pieroh!

Oczywiście Bóg tej prośby nie spełniał. Wtedy padało polecenie, żeby dzieci wołały:

– Sowiet, daj konfiet!

Uśmiechnięty oficer polityczny rozdawał cukierki. Cukierki były duże, a na papierkach był napis: „Spasiba towariszczu Stalinu za szczęśliwoje i zażytoczne dzietstwo”. Co znaczyło: „Dziękujemy Towarzyszowi Stalinowi za szczęśliwe i dostatnie dzieciństwo”.

Moje dzieciństwo przestało być dostatnie. Było coraz bardziej biednie i głodno. Okoliczne wsie ubogie, żywność droga. Chodziło się po wsiach na tzw. obmien, czyli handel wymienny. Odważniejsi i bardziej przedsiębiorczy wypuszczali się na dalsze wyprawy w okolice Równego, Dubna i Łucka. Wsie tam bogatsze i o żywność łatwiej. Jednak w naszej rodzinie nikt nie miał talentu do handlu. Wyprzedawano wszystko co się nadawało do wyprzedaży. Na pierwszy ogień poszło ubranie i pościel. Potem meble. Pewnego dnia jakiś mebel został wymieniony na garnek łożu. Kiedy dotarliśmy już prawie do dna, okazało się, że pod łożem były robaki. Ale nawet ta reszta łożu nie została wyrzucona. Wyrzucone zostały tylko robaki.

Już jako dorosła kobieta, w zetknięciu z ludźmi z innych stron Polski, usłyszałam przysłowie: „Przy stole, jak w kościele”. Oznacza to, że należy jeść w milczeniu. To zupełnie odmienny zwyczaj. Przy stole mojej babci toczyły się długie rozmowy i pamiętam moje zniecierpliwienie, bo od stołu nie można było wstać, dopóki starsi siedzieli. Na talerzach pustki – dawno zapomniano co zjedzono, ale rozmowa toczyła się w nieskończoność, a ja chciałam czytać, nie słuchać. Szkoda. Trzeba było słuchać. Czytać mogę i teraz. A słuchać... Dawno już nie ma tych, którzy wtedy mówili.

Okupacja niemiecka

Kiedy Hitler wypowiedział wojnę Rosji, bolszewicy opuścili Łuniniec i przez kilka dni było to miasto niczyje. Ci, którzy sprzyjali ruskim, teraz uciekli do lasu do partyzantki. Okazało się, że znaleźli się i tacy, którzy czekali na Niemców. I nie zawsze byli to ludzie, którzy pochodzili z rodzin byłych osadników niemieckich. Po zetknięciu z „dziką bolszewią” czekano na Niemców, którzy są cywilizowanym, europejskim narodem. Tak myślała znikoma bo znikoma, ale część inteligencji polskiej. Nie tylko. Także chłopci, wystraszeni perspektywą kołchozów. Gdyby faszyci poczekali z pokazaniem swego

prawdziwego oblicza, mogliby zawładnąć wschodnimi terenami bez większych strat. Przerazona ludność uważała, że nie może być nic gorszego niż komunizm i kolchozy.

Niemcy przybyli na motorach i w samochodach, w zwartym szyku, w blasku cywilizacji i porządku.

Nasz dom był duży i nadawał się na niemieckie biuro. Cała rodzina ścieśniona została w kuchni. Dom zajęli Niemcy. Tylko patrzeć, jak wysiedlą nas z domu zupełnie.

Cóż, moja babcia znowu miała „glejt”. Kiedy rządziła w domu dziecka w Jelcu, w rewolucyjnej Rosji, dzięki niej ów dom był często schronieniem dla uciekinierów ze środowisk inteligencji lub burżuazji. Pracowały tam jako nauczycielki i wychowawczynie osoby, które skazane byłyby na zagładę. Między innymi muzyki uczyła baronessa von Taube, której życie ratowała posada zaoferowana przez babcię. Do jej rodziny napisała babcia i na skutek tej interwencji zostawiono nam w użytkowaniu połowę domu. Ja dowiedziałam się o kulisach całej sprawy znacznie później, już po wojnie. A wtedy mówiono, że widocznie Bilewiczowa ma konszachty z diabłem. Bolszewicy jej nie wywieźli, a Niemcy pozwolili wygodnie mieszkać we własnym domu. Wierzyłam w to, że moja babcia jest chyba czarownicą, bo też była bardzo niezwykłą osobą.

Niemcy zajmowali połowę domu i rzeczywiście zachowywali się spokojnie i kulturalnie. Podobno najciemniej jest pod latarnią. Pod samym nosem okupanta odbywały się lekcje na tajnych kompletach. Kiedy zapędzono Żydów do getta, dentystka, pani Singałowska, przychodziła do nas na opuchniętych z głodu nogach, była przyjmowana z honorami, jak nigdy przed wojną. Przed wojną to była „jednak Żydówka”. Teraz, kiedy Talerczykowa (która nadal przychodziła do nas już nie jako kucharka, ale raczej przyjaciółka domu) powiedziała do mojej babci:

– Co to ta Żydowica ciągle tu przyłazi? Jeszcze jakie nieszczęście ściągnie pani na głowę.

Babcia odpowiedziała brutalnie:

– Jak śmiesz, ty kuchto, obrażać moją przyjaciółkę!

Okazało się, że pani doktor Singałowska, zawszona i spuchnięta z głodu, już nie jest „jednak Żydówką”, ale przyjaciółką babci. Getto w końcu zostało zlikwidowane i pani Singałowska przestała przychodzić. Przestał również przychodzić Lewin. Lewin był również Żydem. Miał sklep na Zalesiu. Po drugiej stronie było dużo sklepów, ale za torami, na Zalesiu, były tylko trzy sklepy z żywnością. Jeden sklep należał do Białorusina Demenczuka, drugi to była Powszechna Spółdzielnia Spożywców, trzeci był sklep Lewina. Nawoływano, żeby kupować w polskim sklepie, ale babcia miała zaufanie do Lewina. On też był „naszym własnym Żydem”. Zakupów dokonywano „na książkę”. Znaczyło to, że wszystko, co kupowano w ciągu miesiąca, Lewin zapisywał w książce i rozliczał raz na miesiąc. Nie pamiętam, żeby babcia, czy ktokolwiek inny, prowadził równoległe rachunki. Babcia wierzyła, że Lewin zapisze i rozliczy, jak trzeba.

Dom Lewinów stał na krańcach Zalesia. Na werandzie od ulicy często siedział stary Lewin – ojciec, z długą brodą i w jarmulce. Kiedy wracając ze szkoły przechodziłam obok domu Lewinów, wołał mnie i dostawałam od niego czekoladę z bajkami na obrazkach w środku. Lewin gładził długą brodę i mówił zawsze to samo:

– Oj Malinka, Malinka, ty nawet nie wiesz, jaka piękna była twoja mamusia. Oj, oj, ona była taka piękna...

Lewinowie też oczywiście trafili do getta. Z początku Lewin do nas przychodził i na wyrazy współczucia odpowiadał:

– Zawsze tak nie będzie.

I nie było. Wszystkich rozstrzelano na Piaskach. Podobno dla dzieci Niemcy żalowali kuli i żywcem wrzucali do dołu.

W likwidacji Żydów uczestniczył mieszkający w drugiej połowie naszego domu Niemiec. Był strażnikiem, który pilnował biura w dzień i w nocy. Miał na imię Hugo. Wyglądał zabawnie. Był mały, rudy i miał krzywe nogi.

Ja i moje wujeczne rodzeństwo lubiliśmy ryżego Niemca. Nie bezinteresownie. On co wieczór wnosił nam na ganek miszkę kaszy manny na mleku z rodzynekami. Zjadaliśmy kaszę po kryjomu przed babcią. Babcia nie pozwalała nic brać od Niemców.

– Niemiec to nasz wróg i dlatego nie wolno wam nic od nich przyjmować.

– Ale babciu, oni przecież biorą nasze owoce z sadu i warzywa z ogrodu – chciałam jakoś usprawiedliwić zjadaną po kryjomu kaszę, którą przynosił nam Hugo.

– Oni mogą od nas wszystko zabierać, bo Niemiec jest naszym wrogiem.

Ta filozofia przekraczała moje możliwości pojmowania. Wkrótce problem rozwiązał się sam.

Następnego dnia po likwidacji Żydów na Piaskach wyniesiono z biura owinięte w zakrwawiony koc zwłoki strażnika.

Podciął sobie żyły.

Kozy

W miarę upływu wojennych dni dom babci stawał się coraz bardziej przestronny. Znikały meble, pościel, naczynia i inne dobra wymieniane na żywność.

Z okolicznych wiosek przychodzili chłopcy, stawali na progu, oświadczając: „My s obmienom”. Pokazywali oferowany towar: woreczek mąki, kaszy, butelkę oleju, garnek przetopionego łoju. Potem, chodząc po pokojach kłapali bosymi piętami i wybierali, co chcieli „na obmien”.

Tym sposobem zasoby były na wyczerpaniu, a sytuacja stawała się prawie beznadziejna. Nie dla babci. Pomyślała – i postanowiła kupić kozy. Przynajmniej dzieci będą miały mleko. Przeprowadziła skomplikowaną transakcję wiążaną. Sprzedała szafę za żywność, a żywność wymieniła na dwie młode kozy. Krawiec Szloma był bardzo zadowolony, że zdążył dokonać wymiany kóz na żywność przed przeniesieniem się z rodziną do getta.

Nie miałam szans, żeby być rozpieszczoną jedynaczką. Wychowywałam się bez rodziców. Miałam jedenaście lat. W warunkach wojennych dzieci dorastają szybciej. Babcia była mądra i przewidująca, ale nie roztkliwiła się ani na sobą, ani nad nikim. Za to zawsze umiała znaleźć wyjście z sytuacji i sprawiedliwie rozdzielić obowiązki.

–Podobają ci się te kozy – zapytała.

„Podobają”? Byłam olśniona. Mecia była biała, a Ficia ciemna, z pięknie umaszczoną mordką. Pokochałam je natychmiast. Przeliczając na kozie normy wiekowe, kozy były w moim wieku.

–Widzę, że jesteś zachwycona. Są twoje – oświadczyła babcia. Przed wojną otrzymywałam masę zabawek od ojca i książek od cici. Hojnie mnie obdarowywano. Być może po to, aby jakoś zrekompensować sieroctwo. Były to jednak martwe przedmioty, które wprawdzie mnie cieszyły, ale czy można naprawdę pokochać coś, co nie jest żywe? Kozy były żywe. Bardzo żywe. Jak bardzo, miałam się dopiero przekonać.

Nie od razu zrozumiałam w pełni oświadczenie „są twoje”. Nie skojarzyłam tego z obowiązkami. A musiałam sprzątać komórkę, w której mieszkały, i wyprowadzać je na wypas. Był to czas, kiedy zaczęłam zachłannie czytać książki. Chowałam się z książką w ustronne miejsce. Znikałam z pola widzenia. Czytałam nawet przy księżycu.

–Malina nie słucha żadnych poleceń. Książkę pod pachę i już jej niema. Zupełnie nie ma poczucia obowiązku – mawiano.

Nareszcie miałam alibi. Pasałam kozy, a wtedy mogłam sobie czytać do woli. Mecia była posłuszna. Gorzej z Ficią. Często wchodziła w szkodę albo uciekała. Ale i tak były to bardzo sprzyjające czytaniu warunki.

Z czasem zaczęłam otrzymywać od babci dodatkowe polecenia.

–Weźmiesz kozy na sznurek, wyjdiesz wcześniej, póki jeszcze rosa – mówiła babcia – pójdziesz łąkami aż do mostu na Leśnej. Za mostem po lewej stronie leży kamień. Położysz pod kamieniem to, co ci dam. Uważaj, żeby nikt cię nie zobaczył. Rozejrzyj się, czy nikogo nie ma w pobliżu.

–Przecież tam nigdy nikogo nie ma.

–Zrób jak mówię. Weź ze sobą wózek i po drodze narwij na łąkach trawy. Pacuszkę połóż pod trawą.

Byłam bardzo ciekawą i wścibską dziewczyną. Dlaczego nigdy nie zajrzałam do tej przesyłki? Swoje zadanie traktowałam z wielką powagą i odpowiedzialnością. Była to cenna tajemnica, o której nikt nie mógł wiedzieć. Nigdy nie dowiedziałam się, jakie to cenne przesyłki kazała mi kłaść pod kamieniem babcia. Ciekawe, czy ona sama wiedziała, co mi powierza.

–W razie czego powiesz, że nie wiesz, skąd się to wzięło.

–Co znaczy „w razie czego”?

–Gdyby ktoś cię wysledził.

–Nikt mnie nie wysledzi. Będę uważała.

Czytałam wtedy najchętniej książki o Indianach. Dzięki tajemniczym przesyłkom indiański świat stawał się realną rzeczywistością. Łąka za posesją mojej babci zamieniała się w dziką prerię, a ja już nie nazywałam się Malina (często z dodatkiem robaczywa). Byłam Srebrną Rybką albo Brzaskiem Poranka. Kiedyś niepotrzebnie wyjawiałam wujowi Marianowi, że moje indiańskie imię to Srebrna Ryba. On natychmiast zdradził rodzinie ten sekret. W dodatku przewrotnie przekreślił, oznajmiając, że mam na imię Śnięta Ryba. Wszyscy podchwyli to z zapalem. Poskarżyłam się babci. Nie okazała współczucia.

–Dobrze ci tak. Nie należy nikomu wyjawiać sekretów i tajemnic. Tajemnica, o której wiedzą inni, przestaje być tajemnicą. Powinnaś to już wiedzieć.

Wiedziałam. Moje dzieciństwo pełne było tajemnic. Nie wiedziałam, w jakich okolicznościach umarła moja mama. Na tablicy nagrobnej pod datą śmierci widniał napis: „Zmarła śmiercią tragiczną”. Nikt nie chciał mi wyjaśnić, co to znaczy. Odkąd wybuchła wojna, nie wiedziałam, gdzie jest mój ojciec. Kiedyś zobaczyłam w miasteczku plakat, na którym była podobizna ojca i obietnica nagrody za wskazanie miejsca, gdzie ukrywa się bandyta.

– Wydawało ci się – powiedziała babcia. – To nie twój ojciec. Może ktoś podobny do niego.

Pomyślałam sobie wtedy, że to też tajemnica. A jeżeli tajemnica, to nie warto pytać, bo i tak się nie dowiem. Przestałam pytać, gdzie jest ojciec. Dorosli mieli swoje tajemnice, a ja swoje. O moich sekretach wiedziały tylko Mecia i Ficia, ale one na pewno nikomu nic nie powtarzały. Kozy należały do mnie, a ja do nich. Miałyśmy do siebie bezgraniczne zaufanie.

Podczas nalotu bomba trafiła w zabudowania gospodarcze. Mecia i Ficia zginęły na miejscu.

Przez jakiś czas było mięso na obiad.

Nie mogłam patrzeć na to mięso. Nienawidziłam moich bliskich, widząc, jak z apetytem jedzą kotlety – ludożercy.

Wydawało mi się, że moje życie straciło sens. Zastanawiałam się nawet nad możliwością popełnienia samobójstwa. Na przeszkodzie stanęły względy techniczne. Nie wiedziałam, w jaki sposób odebrać sobie życie. Utopić się? Nadeszła chłodna pora jesieni i pierwsze przymrozki sprawiły, że woda pokryła się cienką warstwą lodu. Bałam się zimna.

Czary i zabobony

Zabobonne było moje Polesie i gęsto zaludnione nadprzyrodzonymi zjawiskami. Takie, na przykład, krasnale. Były to stworzenia zupełnie pospolite. Kiedy na krańcach posesji mojej babci zobaczyłam nad strumieniem krasnala, nawet nikomu o tym nie mówiłam. Wcale nie był taki znowu mały. Szedł sobie przez gąszcz wiosennych zawilców rosnących nad strumieniem i trzymany w rękę patykiem roztrzącał białe kwiatki sięgające mu poniżej pasa. Czapkę miał czerwoną, szafirowy kubraczek i żółte butki z cholewkami. Nie odezwał się do mnie. Nie zwrócił na mnie uwagi. Widocznie uznał mnie, tak jak i ja jego, za zjawisko dość pospolite.

Bardziej intrygujący niż krasnale był stary dziadek. Przychodził po prośbie. Białe włosy sięgały mu do ramion. Przez ramię miał przewieszoną torbę dziadowską, na sobie koszulę nazywaną w tamtych stronach „kosworotką”, świtkę, czyli kurtkę z samodziału, płócienne spodnie i łapcie plecione z лыка na nogach. Pojawił się w czasie wojny. Przychodził dość regularnie. Stawał na progu. Kłaniał się nisko, do ziemi. Zawodził śpiewnie: „Dzieńdobryj, dzieńdobryj, proszu pani...” Babcia wręczała mu jakieś zawiniątko. Odchodząc, znowu śpiewał: „Dzieńkuj, dzieńkuj, proszu pani...”

Bałam się go. Spod krzaczastych brwi patrzyły bystre, czarne oczy. Nie wiadomo czemu wydawało mi się, że ten dziad to wcale nie jest taki sobie zwykły żebrak, tylko jakaś tajemnicza postać z innego świata. W tym akurat przypadku, co okazało się po latach, miałam rację. Mówiono na niego „leśny dziadek”. On naprawdę był leśny. Tyle, że nie dziadek, a partyzant.

Za mostem kolejowym, w niedużym domku z werandą mieszkała Czarna Dama. Latem przez otwarte okna słychać było dźwięki fortepianu. To ona grała. Mieszkała sama. Kiedy czasem wychodziła z domu, wkładała duży czarny kapelusz z czarnym welonem. Welon powiewał na wietrze. Mijając mnie, uśmiechała się. Zdarzało się to rzadko, bo jak mogłam, unikałam spotkania. Bałam się jej panicznie.

Podobno przyjechała z Brześcia czy Pińska i wynajęła ten domek. Cała jej rodzina zginęła na początku wojny, a ona dostała pomieszania zmysłów. Nie wyglądała jak wariatka. Była tylko dziwadłem. Kiedy Niemcy likwidowali getto, zlikwidowali również Czarną Damę. Według nich była obłąkana i nie miała prawa do życia w uporządkowanym, niemieckim świecie.

Dom mojej babci pełen był zakamarków i tajemnic. Był to drewniany dom, a drewniane domy żyją życiem i wydają z siebie rozmaite odgłosy. Pod podłogą chrobotwały myszy. Korniki drążyły w deskach swoje korytarze. Na strychu mieszkały pająki, gacki i sowy. Kiedyś zamieszkała na strychu kuna. Robiła więcej hałasu niż dusza pokutująca. Zanim się wydało, że to kuna zamieszkała na strychu, byłam pewna, że zagnieździł się tam wampir.

Podejrzywałam zawsze, że w domu mojej babci ukryte są pomieszczenia, a w nich przebywają tajemnicze istoty. Pomiędzy papierami repatriacyjnymi, które do dziś leżą niewykorzystane w moim biurku, znajdują się plany domu babci. Wynika z nich, że było tylko to, co było. Ale ja nie wierzę. Musiało być coś więcej. Czasami nawet wydaje mi się, że pamiętam tajemnicze drzwi, zawsze zamknięte na klucz.

Będąc dzieckiem, często ocierałam się o śmierć. Moja mama umarła, kiedy miałam cztery lata. Odtąd należałam do babci Bilewiczowej. Wciąż były jakieś pogrzeby w rodzinie, w których musiałam uczestniczyć.

Przyszła wojna i wszyscy żyliśmy w cieniu śmierci. Była ona jednak czymś, co zupełnie nie dotyczyło mnie samej. Ja byłam, w moim pojęciu, nieśmiertelna. Często, kiedy czułam się skrzywdzona, wyobrażałam sobie, jak leżę na katafalku, przepięknie ubrana. Wszyscy płaczą, żałują, że umarłam. Teraz wreszcie doceniają moje zalety. Ci, którzy lubili ze mnie żartować, a sporo miałam takich wujów i kuzynów, mają nie do zniesienia wyrzuty sumienia. Głośno szlochają. Żałują swoich nieprawości.

A ja sobie leżę taka wspaniała i ponad wszystkimi.

A co potem? Jak to, „co”? Wszyscy się rozejdą to wstanę i pójde bawić się lalkami.

Największym dziwadłem, jakie spotkałam w moim życiu, była Klimczuczycza. Mieszkała w chatce za zagajnikiem. Była to taka mała, przycupnięta przy ziemi chatynka, z polepą zamiast podłogi. Pachniało tam ziołami zwieszającymi się z pułapu. Na progu przybita była podkowa, a nad drzwiami – nietoperz. Klimczuczycza była mała, chuda, zawsze jakby przepraszająco uśmiechnięta. Umiała zamawiać choroby i odczyniać uroki. Podobno skutecznie. Ale moja babcia kpiła z zabobonów i znachorów. Była oświeconą, czytaną damą. Jednak z zainteresowaniem słuchała opowieści służących, jak to Klimczuczycza pomogła jednej czy drugiej.

Klimczuczycza przeżyła okupację sowiecką i niemiecką. Chyba dlatego, że nikt z zaborców jej nie zauważył. A może dlatego, że bali się czarów i uroków, które mogła rzucić na tego, kto by ją skrzywdził. Po wojnie nie została na Polesiu. Przyjechała jako repatriantka na Ziemię Odzyskane i osiedliła się w miejscowości, w której zamieszkała również moja rodzina.

Nie miałam jeszcze czterdziestu lat i jeżeli chodzi o powierzchowność, byłam znacznie lepszego mniemania o swojej urodzie niż za czasów wczesnej młodości. Przyjechałam z wizytą do rodziny. Spotkałam Klimczuczyczę, wtedy już zgrzybiałą staruszkę. Wzruszona, przywitałam ją bardzo serdecznie. Podniosła głowę, przesłoniła oczy ręką. Przyglądała mi się z niedowierzaniem. Wreszcie klasnęła w dłonie i krzyknęła:

– Malinka! A cóż to z pani zrobiło sia? Toż taka piękna była dziewczyna! A teraz... Tfu! Patrząc hadko!

Wujowie

Późną jesienią wrócił do domu mój wuj, najmłodszy syn babci, Waclaw. Przed wojną pracował na budowie polsko-francuskiej linii kolejowej w Karsznicach. Wracił do rodzinnego domu na Polesiu prawie w poprzek całej Polski. Po drodze zamienił dla bezpieczeństwa swój mundur, który podobno przypominał mundur policyjny, na jakieś żebracze łachmany. Na Wołyniu mieszkała jego ukochana Irena – rozwódka z synem. Wacek nie wracał od razu do domu. Zboczył na Wołyń, do majątku rodziców Ireny, z którymi mieszkała po rozwodzie. Zastał całą rodzinę wymordowaną w bestialski sposób. Zmasakrowano Irenę i jej małego synka. Podobno Wacek stracił przytomność. Kiedy zjawił się w Łunińcu, był zupełnie siwy, a miał wtedy 25-26 lat. To prawda, że można osiwieć w ciągu paru godzin.

Wacek stanął przed gankiem rodzinnego domu. Babcia spojrzała na niego i powiedziała do kucharki Talerczykowej:

– Talerczykowa, dajcie coś do jedzenia dziadowi. A Wacek powiedział cicho:

– Mamo...

Moi wujowie pracowali na Wolańskich Mostach na Prypeci.

Waclaw miał „lewe” papiery. Przez Wolańskie Mosty szły transporty na wschód. Mosty były wciąż wysadzane przez partyzantów i bez końca naprawiane. Myślę, a szkoda, że już nie ma kogo o to zapytać, że ci sami, którzy podkładali ładunki wybuchowe w nocy, naprawiali mosty w dzień. Podejrzewam nawet, że ja i moje kozy też miały w tej działalności swój skromny udział.

Mój wuj Waclaw wrócił z Karsznic w łachmanach. Jedynym przedmiotem świadczącym o jego dawnej świetności był zegarek – Patek, czy może Cyma. Ponieważ nic więcej nie miał, zegarek przedstawiał dla niego wartość wręcz irracjonalną. Wrócił do domu jesienią. Przyszła zima i nie miał w co się ubrać. Jego brat Edward podarował mu swój myśliwski kozuszek. Był to dar wyrwany wprost spod serca. Edward miał dwoje małych dzieci, a kozuch można było wymienić na żywność.

Niemcy podejrzewali, że robotnicy z Wolańskich Mostów są w kontakcie z partyzantami. Urządzili obławę. Wacek, ratując życie, wyskoczył oknem i zostawił kozuch. Początkowo wszyscy byli uszczęśliwieni, że uciekł z obławy. Ale była zima, nie miał w czym chodzić i po jakimś czasie sprawa pozostawionego kozucha urosła do problemu.

– Taki dobry kozuch! Nie mogłeś to chwycić, uciekając? – I w czym ty teraz będziesz chodził?

– Zima sroga, a ty zdrowie masz marne. Nie upilnowałeś kozucha. ..

– Edek oddał ci taki dobry kozuch, a ty zgubiłeś...

Podczas kolejnej z niezliczonych rozmów na temat kozucha Wacek zdjął z ręki swój bezcenny zegarek i powiedział:

– Co tam kozuch.

Trzasnął zegarkiem o podłogę i rozbił go na drobny mak. Zapadła cisza. Potem zaczęto mówić o czymś zupełnie innym. Nikt już nigdy nie robił Wackowi wymówek z powodu kozucha. A jeżeli ktoś marudził lub nudził mówiło się:

– Kozuch... kozuch...

Śmieszne. Niedawno, będąc z wizytą u rodziny, usłyszałam jak moja 90-letnia wujenka zamruczała pod nosem: – kożuch... kiedy zbyt natarczywie namawiano ją do jedzenia. A ja myślałam, że już nikt poza mną nie pamięta, że słowo „kożuch” oznacza nudne marudzenie.

W wolnych chwilach nasz piękny Wacek uwodził okoliczne panny i zapamiętałe grał w pokera. Przegrywał i wygrywał, stawki były wysokie, ale nie miało to większego znaczenia. Gra toczyła się stale w tym samym gronie. Jeżeli nawet ktoś zgrai się do nitki, przegrywając rodzinne meble, to następnego dnia „odgrywał się” i wszystko zostawało na miejscu.

Babcia nie pozwalała Wackowi i jego towarzyszącej grać w karty w domu. W podwórku stał duży drewniany gołębnik, w którym uprawiano hazard. Lubiłam kibicować. Bardzo wcześniej poznałam zasady gry w pokera. Sądzę, że byłabym w tym dobra, gdyby dopuszczono mnie do gry.

Hazard i panny... Byłam prawdziwym utrapieniem dla Wacka. Podsluchiwałam, podpatrywałam i zaglądałam przez dziurkę od klucza. W dodatku donosiłam.

– Babciu, Wacek całuje się z panienką w maliniaku.

– Co ty mówisz? Z jaką panienką?

– Z Bronią Horodyską.

Babcia wychodziła niby to na spacer do ogrodu i oczywiście szła w kierunku gęstych krzewów malin, które rosły na granicy posesji.

Innym razem zawiadamałam, że na ławeczce pod jabłónką antonówką Wacek obejmuje Jadzię Gocłównę.

– Jadzię, mówisz...

Babcia spokojnie dalej czytała książkę, a ja usiłowałam dociec, dlaczego interweniowała, kiedy chodziło o Bronkę, i nawet palcem nie kiwnęła w sprawie Jadzi.

Żyłam w atmosferze sekretów i tajemnic. Wydawało mi się, że dorośli wiedzą wszystko, a ja nic. Babcia, wszechwładna i niedostępna bogini mojego dzieciństwa, decydowała o wszystkim, dawała poczucie bezpieczeństwa, ale zawsze wydawała się daleka i groźna. Wydawała polecenia i nie odpowiadała na pytania.

– Dowiesz się w swoim czasie – mówiła, kiedy o coś pytałam Najważniejszy dla mnie był wuj Marian. Nieuleczalnie chory na gruźlicę kości, wegetował, czekając na śmierć, która w końcu przyszła. To on nauczył mnie kochać książki. Kiedy przestał chodzić, jesienią i zimą całymi dniami siedziałam w nogach jego łóżka. Czytaliśmy głośno na zmianę. Ulubionym pisarzem Mariana był Żeromski. Miałam nie więcej niż 12 lat, kiedy przeczytałam „Popioły” i „Wierną rzekę”. Uczyl mnie na pamięć wierszy, których treść rozumiałam dopiero po latach. Na przykład wiersz Władysława Sebyły:

...Noc bezsenna, nocy drapieżna, słowa zgrzytają w zębach jak piach. I zamieć mroźna i zamieć śnieżna W nierozplątanych snach...

Kiedy umarł, zostałam osierocona po raz drugi.

Życie towarzyskie

Przy naprawach wysadzanych w powietrze obiektów kolejowych zaczęli pracować przywiezieni do Łunińca młodzi chłopcy z organizacji Todt. Pomimo głosu nalotów, niedostatku i ciągłego strachu – młodość to młodość. Młodzież spotykała się w rozmaitych domach albo na plebanii u księdza Sypniewskiego na śpiewy i tańce. Nigdy nie zapraszano chłopaków z Todt. Istnieli w świadomości jako Niemcy, a więc wróg. Pewnego letniego wieczoru młodzież, która zebrała się na werandzie domu jednej z dziewczyn, śpiewała przy akompaniamencie gitary: „...dziś do ciebie przyjść nie mogę...”. W sąsiednim domu kwaterowali chłopcy z Todt. W pewnym momencie do dziewczęcych głosów dołączyły płynące przez otwarte okno sąsiedniego domu, męskie głosy: „...bo do lasu idę spać. Nie wyglądaj za mną oknem...”.

Tak się zaczęła znajomość z chłopakami z Todt, co nie zawsze było przychylnie komentowane przez dorosłych. „To jednak nie wiadomo kto...”. Dziadowie i pradziadowie musieli się znać między sobą – inaczej zawsze był to „nie wiadomo kto”. Byłam jeszcze zbyt młoda, żeby zrozumieć te wszystkie zawilości. Koleżanki miałam starsze. Dzięki intensywnej działalności mojej ciotki, wyprzedzałam program szkolny odpowiedni dla mojego wieku. Uczylam się więc ze starszymi ode mnie dziewczynami. Przyjaźń ze mną była atrakcyjna z tego również powodu, że miałam bardzo przystojnego wujka, oryginalnego, młodego a siwego. W dodatku romantycznie owianego technieniem tragedii. Dziwiłam się, co one w nim widzą. Moim zdaniem był to starzec – miał 26 lat. Nie obchodziły mnie też jeszcze flirty z chłopakami z Todt. To też byli dwudziestoletni starcy.

Czytałam bez opamiętania, pasalam kozy i żyłam na pograniczu realnego świata. W niedzielę chodziłam z babcią do kościoła na sumę. Nudziłam się w czasie długiego nabożeństwa i z niecierpliwością czekałam na słowa „ite, missa est”.

Parafią zarządzał wtedy młody, bardzo przystojny i wesoły ksiądz Władysław Sypniewski. Starsze parafianki szeptały nawet, że jest zbyt młody i zbyt przystojny. Dzięki niemu dla dzieci i młodzieży kościół stał się miejscem bardzo ważnym. Mimo trudnych warunków wojennych ksiądz z rozmachem organizował uroczystości kościelne. Mir i posłuch miał wielki. Wystarczyło, żeby powiedział słowo, a parafianie zgłaszali się do wszelkich prac. W niedzielne popołudnia można było zastać księdza Sypniewskiego z dziećmi koło kościoła, jak bawił się z nimi w „czarnego luda”. Plebania była miejscem spotkań, zabaw wspólnego czytania książek, śpiewania. Zastępowała kino, teatr, a czasem i szkołę. Zawsze znalazło się coś do jedzenia dla dzieci. Stara i groźna gospodyni księdza narzekała, że chociaż parafianie starają się jak mogą zaopatrzyć księżowską spiżarnię, to i tak ta mała szarańcza wszystko do czysta powyjada. „Zobaczmy, czy nie ma czegoś jadalnego w spiżarni” – zachęcał ksiądz. Jeżeli było, to zniknęło. Zapasów ksiądz nie uznawał. Każde z dzieci miało jakieś swoje „odzwierzęce” przezwisko. Mnie nazywał Aligator. Ciekawe, dlaczego tak mnie nazwał. Gdzie Rzym, gdzie Krym. Po wielu latach zobaczyłam prawdziwe aligatory. Moja córka mieszka nad Zatoką Meksykańską w Stanach Zjednoczonych. W delcie Missisipi żyje dużo tych gadów.

Wielkim zaszczytem i wyróżnieniem było służenie do mszy świętej. Chętnych było dużo. Najmłodszym ministrantem był mój sześciolatek wujeczny brat. Bardzo tę służbę przeżywał. Zawsze asystował przy prasowaniu swojej białej komży, obszytej koronkami. Czy będzie nietaktem, jeżeli po ponad pół wieku wyznam, że komża Czarusia uszyta była z batystowych majtek mojej babci? Komża przykrywała wszystkie niedostatki stroju, ale z butami był kłopot. Ministrant musiał mieć buty.

– „Bosiaków” przed ołtarzem nie chcę – powiedział ksiądz.

Rodzina musiała się zmobilizować i nogi ministranta obuć. Zjednoczono się w wysiłkach i zdobyto kalosze dla Czarusia, trochę za duże, nie wyglądały elegancko, ale bosy nie był. Kalosze miały wielką zaletę. Można w nich chodzić po wodzie, a tej na Polesiu nie brakowało – wszędzie bagna. Czarus przyszedł za wcześnie do kościoła i poszedł łowić żaby w sadzawce. Brodząc w wodzie, zgubił kalosz. Zrozpaczony i zapłakany przybiegł do zakrystii. Ksiądz Sypniewski z ministrantami wyruszył na poszukiwanie czarusiowego kalosza. Brodząc w wodzie, z zakasaną sutanną, kierował akcją poszukiwawczą. Parafianie w kościele czekali, dziwiąc się, dlaczego msza Św. się opóźnia... Kalosz najmłodszego ministranta był bardzo ważny.

Będąc z wizytą u rodziny, zapytałam Cezarego, czy pamięta to zdarzenie.

– No tak, pamiętam. Ale ja nie łowiłem żab. Kalosze były za duże. Kopnąłem w kretowisko na brzegu stawu. Kalosz wyleciał w po wietrze i wpadł do wody.

Pamiętał. Przechował to w pamięci przez tyle lat. Skąd ksiądz Sypniewski wiedział, jak ważny to kalosz?

Kiedy wojna się skończyła, szykowaliśmy się do wyjazdu na zachód, na Ziemię Odzyskaną. Cieszyłam się, że jedziemy w nieznaną. Nie rozumiałam mojej babci, która przeżywała to bardzo dramatycznie. Wcale nie chciałam zostać w Łunińcu. Dopiero teraz, u schyłku życia, wracam tam myślą i szukam sensu przeszłych zdarzeń, który często zawierusza się w codzienności.

W swoich szpargalach mam jeszcze stary pamiętnik, w którym moja koleżanka, Czesia Zdrajkowska, napisała:

Młodość nasza jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały. Choć przemija sama szparko Cios jej dłuta wiecznotrwały...

Epilog

Opuszczając 14 sierpnia 1945 roku swój dom przy ulicy Mickiewicza 5 w Łunińcu, moja babcia obejrzała się. Po raz ostatni spojrzała na dom i powiedziała:

– Ja tu wrócę. Tu była, jest i będzie Polska.

Myliła się. Przeżyła 93 lata. Zmarła 19 maja 1969 roku. Pochowana została na cmentarzu w Słupsku.